

Ryszard Stemplowski

POSŁOWIE PO SŁOWACH O KSZTAŁTOWANIU TOŻSAMOŚCI

Człowiek stawia sobie wiele pytań egzystencjalnych: Jakim człowiekiem jestem? Jaki sens ma moja praca? Co sprawia, że taki/taka jestem? Kim byli moi przodkowie? Co o mnie sądzą inni, co ja o innych sędzę? Z kim dobrze mi się współdziała, a z kim współzawodniczę? Do jakiej wspólnoty należę? Jakie osoby czy narody cenię bardziej, a jakie mniej i dlaczego? Czy mam przyjaciół (wrogów)? Do czego dążę? Kim ja właściwie jestem? Czy się zmieniam – jak i pod wpływem czego? Zadaje sobie wiele tego rodzaju pytań, choć rzadko wszystkie naraz i zwykle nie zastanawia się nad kategorią „tożsamość”, „kategoryzacja społeczna”, „rola społeczna”, czy „wyrazistość tożsamości”. Musi też uwzględniać treść niezliczonych przejawów stosunków społecznych, także tych wynikających z tekstów, które tożsamość współokreślają: szkolne świadectwa, zaświadczenia lekarskie, dowody osobiste i paszporty, świadectwa pracy, może wyroki oraz ich pisemne uzasadnienia, może świadectwa ślubów, poświadczenia podatkowe i emerytalne. Ktoś wystawia metrykę czy akt urodzenia, jeszcze ktoś inny – akt zgonu, kiedy już tożsamość z człowieka uleci. Oddziałujemy tożsamością na innych, a inni oddziałują na nas. Człowiek swoją tożsamość określa, w pewnym stopniu objawia. Inni zaś mu ją przypisują. I w jakiejś mierze każdy zdaje sobie sprawę, że autobiografia to nie biografia. A przecież i one mogą, czasem muszą, mieć

rozmaite wersje. Tożsamość to nie tyle fotografia, ile proces, może seria fotografii powstających w trakcie życia człowieka. Każda jest równie dobra, ale każda może się odnosić do człowieka w innym czasie, o innym doświadczeniu, w innym stanie, każda jest prawdziwa. W myśleniu o tożsamości przejawia się kulturowość ludzi godnych miana człowieka. Włodzimierz Herman pisze o poszukiwaniu tożsamości, lecz *de facto* pokazuje, że poszukiwanie jej to stałe formowanie pojmowania siebie jako człowieka.

Tożsamość kształtuje się w grupie społecznej poprzez wzajemne stosunki jej członków i stosunki danej grupy z innymi grupami w coraz szybciej zmieniających się warunkach życia. Tożsamości zawsze w jakimś stopniu poszukujemy, bo jej pojęcie jest nieostre i zależy ona też od tego, w jakim stopniu jesteśmy, jako jednostki i grupy, świadomi jej poszukiwania. Autor tej książki dotyka więc sedna stosunków społecznych w środowisku naturalnym, czyli tego, co określić możemy mianem kulturowości człowieka. Ja także mogę tutaj zagadnienia tożsamości tylko dotknąć, krótko odnotować swe wrażenia czytelnika zainteresowanego przedmiotem i osobiście znającego autora tych esejów i przekładu, w oczekiwaniu na pogłębione komentarze kompetentnych recenzentów opublikowanej książki.

Herman pokazuje wielorakość stosunków społecznych. Poczynając od tych, które konstytuują rodzinę, naród, ustroje państw, wspólnoty religijne, kończąc na stosunkach w polskim ruchu studenckim i arcyszczodrych wzmiankach o przyjaciółach w pamiętnym 1968 roku.

Tożsamość można pojmować na rozmaite, postulowane przez psychologów społecznych czy socjologów sposoby. Jeden z nich to uznanie, że o tożsamości człowieka decyduje też zespół wartości społecznych, jakimi się on kieruje w swoim postępowaniu, jego pojmowanie godności. Teksty Hermana mają silny wspólny mianownik z wypowiedziami charakterystycznymi dla człowieka

zaliczanego do polskiej i – szerzej – europejskiej inteligencji twórczej. A jest jeszcze kryterium tożsamości naukowo ryzykowne: charakter. Obcując często z Włodkiem dawno temu we Wrocławiu i spotykając go sporadycznie w ostatnich latach, nie zauważyłem zmiany w jego sposobie bycia, myślenia, stosunku do innych. Jeżeli moje kryteria oceny są cały czas wystarczająco podobne, to nie popełniam błędu, utwierdzając się w przekonaniu skądinąd znanym, że o tożsamości człowieka dojrzałego decydują w zasadniczym stopniu jego wczesne przeżycia.

Urodzony w warszawskiej rodzinie rzemieślniczej asymilujących się Żydów polskich, wychowywany potem w codziennym kontakcie z rosyjskojęzycznymi rówieśnikami w ZSRR czasu wojny, po jej zakończeniu wraca – gdyż do Polski powracają jego rodzice – i uczy się w szkole na Dolnym Śląsku, gdzie środowiska tzw. repatriantów zza nowej granicy wschodniej były wyjątkowo liczne. Uczy się w szkole żydowskiej. Nie można wykluczyć, że to jakaś kontynuacja stosunków społecznych z epoki przedwojennej i przejaw nowych postaw kompensacyjnych po holokauście i polskiej tragedii wojennej, a więc ostatecznie i jakichś składników typowych tożsamości we wszystkich wielkich środowiskach społecznych tamtych czasów. Ale już szkoła średnia, zwłaszcza studia uniwersyteckie, rozwijają przede wszystkim znany nam wymiar polski. Budulcami tego procesu są w tym wypadku język polski (klasyka prozy i poezji, starszej i współczesnej), studiowanie historii myśli społecznej epoki zaboru austriackiego oraz odrodzonej Rzeczypospolitej i – w jakiejś mierze – obserwacja nowych stosunków społecznych.

Herman występuje na łamach książki jako człowiek rozpoznający rozmaite aspekty swojej tożsamości, lecz przeważnie piszący o sobie jako reżyserze teatralnym. Zaczynał od reżyserowania we wrocławskim teatrze studenckim. Zapisał się wtedy jako pierwszy w PRL reżyser Szewców Witkacego, sztuki wystawionej

w studenckim Kalamburze, pokazanej dobre sto razy w kilkudziesięciu miastach. Potem został reżyserem etatowym w państwowym teatrze wrocławskim. Nadal był więc reżyserem, ale to już była silna pozycja zawodowa. Reżyserem sztuk teatralnych i widowisk innego rodzaju – a więc w najrozmaitszych odmianach tej roli – nigdy być nie przestał, robi to z powodzeniem w bardzo różnych kulturach, ale pojawia się też w roli autora tekstów scenicznych, a w tej książce – tłumacza i eseisty. (Nie wspomina w swym życiorysie o tym, o czym wiadomo z innych publikacji, że jest kolekcjonerem wizytowników, należąc do elity tej mało znanej, a wielce ekskluzywnej grupy kolekcjonerów w świecie).

Teraz objawia się nam ponadto w roli tłumacza dramatu. Tłumacz należy do grupy pośredników kulturowych. To doniosła rola społeczna. I szczególnego rodzaju składnik tożsamości. Kto „tłumaczy”, ten nie tylko „przekłada”, ale i wyjaśnia – tzn. tłumaczy coś czytelnikowi. Tłumacz uczestniczy w zapośredniczaniu wiedzy o człowieku w stosunkach między ludźmi o odmiennych językach ojczystych, powiększa gęstość ponadnarodowej komunikacji społecznej. Chociaż bowiem „ile języków znasz, tyle razy człowiekiem jesteś”, to za każdym razem człowiekiem innym. Trudno zaś o bardziej skomplikowane relacje niż na dawnych Kresach, na pograniczu imperiów, wśród rozmaitych grup etnicznych i narodowych, zhierarchizowanych, ze zróżnicowanymi doświadczeniami państwowości, wyznających różne religie, wśród przedstawicieli rozmaitych klas. *Dybuk* An-skiego – sztuka o ludziach budujących swoją tożsamość przez jednoczesne krążenie „między światami”, czyli pobyt w dwóch albo nawet wielu światach jednocześnie – traktuje o tożsamości. Opisane tam postacie egzystują poprzez to, czym się trudnią i jak organizują odnośne społeczności, w co wierzą i jak funkcjonują w hierarchii społecznych ról. Formują i na rozmaite sposoby wyrażają swoje tożsamości indywidualne i grupowe.

Włodzimierz Herman przekłada tekst *Dybuka* z jidysz na polski, ale to tłumaczenie, choć stanowi niepospolite dzieło, nie jest celem samym w sobie. Ważne jest, że przydaje się Hermanowi do rozmyślań o tożsamości. Odnoszą się one do grup tam i wtedy najliczniej reprezentowanych, określanych dzisiaj mianem Białorusinów, Polaków, Rosjan, Ukraińców, Żydów. Jeszcze sto lat temu świadomość narodowa była udziałem nielicznych, a treść czerpała z rozmaitych źródeł. Liczni Rusini stawali się dopiero w I połowie XX w. Ukraińcami, niektórzy Polakami albo Rosjanami. Wśród Żydów (i żydów) zaznaczała się asymilacja w kontakcie z każdą spośród wymienionych grup. Do pewnego stopnia był to zarazem proces unarodowiania chłopów. Tłumaczenie przydaje się więc Hermanowi do kontynuacji rozmyślań nad formowaniem się jego własnej tożsamości. Takie odczytanie autorskiego zamysłu wynika również ze wstępu do książki, gdzie autor wiąże swe zainteresowanie *Dybukiem* i publikacją *Mojego dybuka* z poczuciem, że „musi” w poszukiwaniu tożsamości „teraz tę wędrówkę zacząć” – tzn. zacząć jej opis.

Pracę magisterską Herman napisał o Wilhelmie Feldmanie. Ten Polak z ortodoksyjnej rodziny żydowskiej w Galicji, autor dzieła *Współczesna literatura polska*, publicysta i założyciel „Dziennika Krakowskiego” oraz wydawca i redaktor lwowsko-krakowskiej „Krytyki” na przełomie XIX i XX w., jako wybitny zwolennik asymilacji, sam mógł w jakiejś mierze stanowić wzór osobowy dla asymilujących się osób ze środowisk mniejszościowych. Czytamy w życiorysie Hermana: „Dobrze rozumiałem jego ustawiczne borykanie się ze swoją polsko-żydowską tożsamością, jego nieustanne powracanie do tego problemu” (s. 236)

Tekst Hermana to bardzo osobista relacja. Zainteresowanie skomplikowanym problemem subtelnie określanej tożsamości musiało się u niego pojawić w bardzo wczesnym wieku i chyba nigdy go już nie opuściło: oddziaływało na jego życie, wytyczając te

„drogi” i „bezdroża”, pobudzając teraz do nie tylko książkowych „dygresji” formujących.

Ta osobista relacja wszakże identyfikuje też składniki tożsamości ogromnej rzeszy mieszkańców ziem I Rzeczypospolitej. Wtedy to pewien duchowny tak siebie określał: *Canonicus cracoviensis, natione Polonus, gente Ruthenus, origine Judaeus*, a wielokrotnie już przypominano, że pierwszy historyk Polski przybył z Galii, ród największego uczonego i poddanego polskiego króla pochodził z wyraźnie wieloetnicznego Śląska, pierwszy polski ambasador zawodowy (Zygmunta Starego) i późniejszy biskup warmiński wywodził się z gdańskiej rodziny saksońskiego powroźnika, ojciec naszego największego kompozytora należał do alzackiej rodziny francuskiej, ojcem największego malarza polskich scen historycznych był Czech, a matka urodziła się w rodzinie polsko-niemieckiej, natomiast przodkowie matki naszego największego wieszacza narodowego polonizowali się jako frankiści. Polska musiała zajmować poróżne miejsce w tożsamości każdej z tych osób.

Niejednoznaczność funkcjonującego pojęcia „asymilacja narodowa” polega m.in. na tym, że istnieją co najmniej trzy odpowiedzi na pytanie, czym kończy się proces asymilacji z punktu widzenia tożsamości:

(1) Osoba zasymilowana to taka, która pochodzi od swoich przodków ze względnie odmiennej grupy etnicznej (narodowej), lecz o tym nie wie. Jednakże to, o czym nie wie, może być znane innym osobom w grupie przyjmującej i wpływać na stosunki społeczne z tą osobą, oczywiście bez przekazywania jej informacji i dawania w jakikolwiek inny sposób do zrozumienia, że pochodzi od innej grupy. Dodatkowo trzeba jeszcze uwzględnić możliwość błędu. Nie wiadomo zatem, czy osobę tę można uznać za zasymilowaną. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że w Argentynie czasów wojskowej dyktatury odebrano setkom torturowanych opozycjonistek niemowlęta i przekazano do adopcji bezdziejnym

małżeństwom wojskowych. „Dzięki badaniom DNA” teraz tym porwanym „przywraca się”, jak podają gazety, „prawdziwą tożsamość”. To ryzykowne ograniczenie pojęcia „tożsamość”. Takie „przywracanie tożsamości” niczego nie podejrzewającym czterdziestolatkom może wywołać komplikacje w sferze tożsamości (świadomości). Może się jednak okazać szlachetnym sposobem zaspokajania uzasadnionych tęsknot rodziców i publicznego poczucia sprawiedliwości społecznej, a nawet uwypuklenia znaczenia nauki. Przywołuje także na myśl los polskich, zniemczanych Dzieci Zamojszczyzny czy komplikacje związane z losem dzieci żydowskich ratowanych poza gettem. Znane są przypadki bardzo późnego – pewnie w obawie przed antysemityzmem – ujawniania (przez rzeczywistych albo przybranych rodziców) dorosłym już dzieciom ich żydowskiego pochodzenia.

(2) Osoba zasymilowana to taka, która pochodzi od swoich przodków ze względnie odmiennej grupy etnicznej (narodowej), lecz ani ta osoba, ani nikt inny o tym nie wie. Jednakże i tu trzeba sformułować warunek, że żadne badanie genealogiczne nie wykaże nigdy, iż jest inaczej. Samo pojęcie końca asymilacji staje więc pod znakiem zapytania.

(3) Osoba zasymilowana to taka, która pochodzi od swoich przodków ze względnie odmiennej grupy etnicznej (narodowej) i o tym wie, lecz w jej tożsamości dominuje kultura grupy przyjmującej. Ten wariant usuwa wymienione trudności, lecz stawia problem stopniowości asymilacji. W praktyce ten właśnie wariant jest najbardziej rozpowszechniony. Ale tu znowu proces tak pojmowanej asymilacji może nie mieć końca. Tym bardziej że i pojęcie „naród” zmienia się historycznie, a bywa traktowane jako nazwa pewnego bytu niezależnego od wyobraźni ludzkiej i nazywającego go języka.

Niewielu Polaków potrafi udokumentować narodowość czy etniczność swoich prapradziadków i poprawnie przy tym stosować

terminologię o zmiennej treści. Do XVIII/XIX w. Polakiem był przecież prawie wyłącznie szlachcic (niezwykle rzadko mieszczanin), i to w zasadzie bez względu na pochodzenie etniczne i wyznanie. Staropolski „Polak” to bezdyskusyjnie status społeczny i jednocześnie mniej lub bardziej jednoznacznie określone pochodzenie etniczne. Odlegli o kilka pokoleń przodkowie większości obecnych Polaków mogli nawet nie mieć żadnej świadomości narodowej i mówić językiem „tutejszym” w państwie zaborczym. Jesteśmy teraz w zasadzie społeczeństwem o rozgałęzionych korzeniach chłopskich, dość wysokiej jednorodności etnicznej i mozolnie wypracowywanej kulturze politycznej. Przypuszczam jednak, że przytłaczająca większość mieszkańców Polski nie potrafi nawet wymienić panieńskich nazwisk swych prababek, a tym bardziej pokazać starszych i szerszych koligacji, choć nie ma wątpliwości co do swej tożsamości narodowej.

Procesy asymilacji, integracji i podobne interferują w zbiorczym procesie narodo- i państwowotwórczym. „Nowoczesny naród polski” rodził się od połowy XVIII w. i obecna jego postać wynurzyła się bezpośrednio z epoki wojny i powojnia nie tyle jako wyobrażenie o czymś w historii dawnym i wielkim, ile raczej jako rezultat integrującego wkładu słowa drukowanego i uprzemysłowienia, integrujących migracji ze wschodu na zachód, ze wsi do miasta, z warstwy chłopskiej do robotniczej, z tych warstw do inteligencji (poprzednio wywodzącej się przeważnie z drobnej szlachty), zwłaszcza zaś jako unifikujący wpływ powszechnej oświaty, powszechnego poboru do wojska, popularności radia, gazet i telewizji, masowych nakładów literackiej klasyki polskiej, a nawet państwowej komunikacji autobusowej. I stałego oddziaływania Kościoła. Ale przy nieznacznej obecności mniejszości narodowych czy etnokulturowych. W takich warunkach formowały się wtedy tożsamości członków pokolenia Hermana. Od ćwierćwiecza zaś mamy także do czynienia z przyspieszoną moderni-

zacją Polski poprzez mozolne adaptowanie wzorów dość trafnie zapożyczanych od krajów wyżej rozwiniętych i przez coraz ważniejsze innowacje rodzime. Z peryferii wspinamy się teraz w Unii Europejskiej wyboistym szlakiem ku centrum, w którym kraj pobytu Hermana od dawna się umacnia.

Włodzimierz Herman zmienił swe położenie, emigrując z Polski pod wpływem dyskryminacyjnych okoliczności, osiadając w kraju kapitalistycznie wysoko rozwiniętym, demokratycznym pod rządami prawa. Osobiście czuję się wyróżniony, kiedy ktoś pochodzący z innej kultury wybiera i rozwija kulturę mego – naszego – narodu. Kiedy zaś taki obywatel czuje się – i jest – z naszej wspólnej Ojczyzny wypędzany, współczuję mu, cierpię i protestuję jako osobiście przez nią poniżony.

Wielu z nas, rówieśników Włodka i podobnych mu wychodźców, przebywało przez pewien czas z rozmaitych powodów na swego rodzaju emigracji – emigracji wewnętrznej. W państwie o ograniczonej suwerenności, zależnym od komunistycznego mocarstwa dominującego, żyjąc pod autokratycznymi rządami socjalizmu państwowego i podlegając w latach 60. czy 80. XX wieku rozmaitym ograniczeniom, zwolennicy ideałów sprawiedliwości społecznej pozbywali się złudzeń, nie chcieli już akceptować takiego ustroju, lecz nie zamierzali też żyć pasywnie. Niektórzy zdołali się nawet tym rządóm w latach 70. i 80. przeciwstawić, nie licząc zresztą na przełamanie ówczesnego ustroju – raczej na obywatelskie pobudzenie innych. To także była sprawa tożsamości. W każdym wymiarze tego pojęcia. Do zmiany doszło w końcu dzięki ogólnonarodowemu ruchowi solidarnego sprzeciwu wspieranemu przez katolicyzm instytucjonalny, w warunkach prawdziwie dramatycznego osłabienia sowieckiego mocarstwa.

Włodzimierz Herman pisze o marcowym „antysemityzmie politycznym” 1968 roku jako przyczynie emigracji, ale nie oszukujmy się. Wspaniałomyślność Hermana, który akcentuje antysemityzm

„polityczny” z oczywistym wskazaniem na partyjnych działaczy rządzących, ledwie pozwala się domyślać, że żaden antysemityzm nie bierze się ze społecznej próżni; ta pojednawcza postawa Autora nie powinna zwalniać nas, Polaków, od zwalczania w Polsce rasistowskich przesądów.

Bariery rozwoju, tę dawną peryferyjność, względną izolację, od ćwierćwiecza stopniowo się przezwycięża, a to wpływa na tożsamości indywidualne i zbiorowe w Polsce. Pogłębia realizację humanistycznych wartości w naszej praktyce społecznej. I podtrzymuje nadzieję. Wszelako stymulowanie zrównoważonego rozwoju w szybko zmieniających się warunkach światosystemowych, społeczno-przyrodniczych nie przebiega jednostajnie, lecz wymaga zwiększania obywatelskiej aktywności i wytrwałości w solidarnym współdziałaniu i uczciwym współzawodnictwie – teraz i w przyszłości. A że tożsamość zawsze, stale kształtuje się w dynamicznych stosunkach społecznych, to i tutaj dybuk tkwi w szczegółach.

Niechaj lektura tej książki wzmocni okresowo pojawiające się u nas przekonanie, że przydałoby się nam w Polsce więcej patriotycznego samokrytycyzmu. To prawda, że bilans jest pozytywny, dużo się nam w Polsce udało, lecz i popsuto niemało. Jak wiele jest do zrobienia! Trzeba nam racjonalnej krytyki, tzn. analizy opartej na racjonalnych kryteriach. W tej książce Włodzimierz Herman, Żyd z urodzenia, Polak z wyboru, ale doznający nieraz „poczucia przynależności do ... prześladowanej grupy ludzi” (s. 229), lojalny i szanowany obywatel duński dobrze pamiętający o swym pochodzeniu etnicznym i klasowym oraz całym swym doświadczeniu polskim, traktujący z dojrzałym dystansem nawet najważniejsze strony swej biografii, odważnie stawia ogólny problem tożsamości człowieka i ogłasza to w swoim kraju ojczystym u zasłużonego dla kultury polskiej Wydawcy.

„Problem” to pytanie, ale i często coś trudnego, doskwierającego. Naturalną więc kolejną rzeczą, kiedy ktoś rozmyśla o tożsamości,

to z pewnością pragnie zredukowania występującego przy tym dysonansu poznawczego, zrozumienia rozbieżności zmieniających się czynników swego statusu, wyprecyzowania tożsamościowego autoportretu. A pisząc o tym, Herman umacnia i nas – kulturowo zróżnicowaną grupę czytelników tej książki – w przekonaniu o pożytkach z pytania o drogi, bezdroża i aktualne cele widoczne w procesie nieustannego formowania tożsamości człowieka aktywnego. Pewien niedosyt występuje w opisie współzawodnictwa w środowiskach artystycznych, polskich i zagranicznych, a okres studencki Herman idealizuje, choć pokazuje źródła optymizmu człowieka uczciwego, nie mówiąc tego wprost. Z umiarem rozpamiętuje osobiste, psychiczne, skomplikowane strony problemu emigracji, ale zwraca uwagę na znaczenie motywacji – znów bez tych wszystkich słów kluczowych. Może nawet inspirować do ponawiania pytań o jakoby nierozpoznawalną tajemnicę związku między świadomością a pełną fizycznością człowieka, choć przecież nie stylizuje się na filozofa. Włodzimierz Herman utwierdza nas jednak w przeświadczeniu o celowości introspekcji, czyli analizowania własnej tożsamości, i namysłu – bez utożsamiania cech jednostki z cechami zbiorowości, czyli bez hołdowania stereotypowi charakteru narodowego – także nad stale aktualizowaną w naszej wyobraźni tożsamością narodu, mniejszości narodowej czy etnokulturowej, nad godnością człowieka i, więcej, nad kulturą i tożsamością w pluralistycznej zbiorowości, jaką jest konstytucyjny „Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”.

Skala społeczna tożsamości jest oczywiście starsza i mocno pogmatwana. Z tego, co publikują genomicy, można wnioskować, że wszyscy dzisiejsi ludzie mają w sobie geny człowieka żyjącego chyba nie dawniej niż 3,5 tys. lat temu. Europejczycy noszą dziś w sobie geny pochodzące z genotypu mieszkańca bardzo niedawnej Europy dziadków Mieszka I. Oczywiście, także jakieś geny pochodzące od niektórych istot starszych, np. europejskiego

neandertalczyka sprzed co najmniej 30 tysięcy lat. Nie oznacza to, że współczesny Europejczyk ma wszystkie geny ludzi żyjących w Europie tysiąc lat temu. Chodzi o to, że każdy z nas ma wśród około 25 tys. swoich genów niektóre *ich* geny. Uściślenie tych tez i hipotez, ich weryfikacja i wyjaśnienie treści oraz implikacji takich związków dla tożsamości wymaga dalszego oswajania czegoś więcej niż dybuka genetyki statystycznej. Jeszcze lepsza zaś wiadomość wiąże się z najnowszymi postępami w tych poszukiwaniach wzajemnych powiązań dzisiejszej ludzkości. Nauka empirycznie odnajduje taką więź spajającą pluralistyczny rodzaj ludzki. Mamy więc także coś wspólnego w tożsamości silnie uwarunkowanej genetycznie. Starajmy się takie wartości w niej rozwijać, żeby to, co nas łączy, przeważało mocniej nad tym, co dzieli.